

---

# Rekolekcje ks. Daniela Charmot

## WPROWADZENIE

*P*rzypadek sprawił, że byłem tłumaczem w czasie programu przygotowującego naszych seminarzystów do ślubów wieczystych. Rekolekcje miał głosić ówczesny prowincjał ks. Daniel Charmot. W czasie miesięcznego przygotowania były to dwa dni, z dwoma konferencjami dziennie. Te rekolekcje były szczególnie nie tylko dlatego, że było to jego osobiste świadectwo, ale dlatego, że był on wtedy ciężko chory, z trudnościami chodził i oddychał. Każdy większy wysilek sprawiał mu duży ból. Nie ukrywał tego, ale też nie robił z tego tragedii. Na wstępie poprosił o mileżenie w czasie rekolekcji, także w trakcie posiłków. Kilka dni wcześniej, na koniec roku 1999, uczestniczyliśmy w spotkaniu saletynów z Francji (tych którzy mogli przyjechać na spotkanie prowincji) – był obecny ks. generał i grupa towarzysząca formacji, oraz przygotowujący się do ślubów seminarzysty. W trakcie spotkania trzeba było zaprezentować jakiś skecz lub piosenkę, aby rozbawić wszystkich. Ponieważ nikt z poważnych już w większości ojców naszej francuskiej prowincji matki nie miał pomysłu, lub ochoty, to wstał ks. Daniel i zaśpiewał piosenkę, w któ-

rej naśladował różne głosy – męża, żony, dziewczyny, chłopaka, dziadka itd. Było to tak zabawne, że rozbawiło nawet najbardziej niemrawych. Widziałem, ile go to kosztowało, ponieważ samo mówienie sprawiało mu trudność. Później pomyślałem sobie, że on daje nam swoje życie, tak jak o tym mówił w rekolekcjach, wiedząc że ma go już niewiele. To był zupełnie inny Daniel niż ten, którego pamiętaliśmy podczas naszych pierwszych z nim kontaktów w La Salette. W 1978 r., kiedy po raz pierwszy z nim się spotkałem, wydawał się nieprzystępny i traktujący innych z góry. Nie rozumiałem motywów jego postępowania. Zrozumiałem to dopiero teraz. Człowiek, którego cierpienie w życiu doświadczyło, jak złoto oczyszcza się w tyglu. Jego świadectwo pozostawiło we mnie niezatarte wrażenie. Prosiłem ks. Charmot przed wyjazdem z La Salette o pozwolenie na opublikowanie jego tekstu rekolekcyjnego, lecz odpowiedział mi wówczas: „Dopóki żyję, nie pozwalam”. Dzisiaj, drogi Danielu, myślę, że zgodzisz się, aby twój talent nie pozostał w ukryciu.

*ks. Henryk Przeździecki MS*

Wczoraj zwiedzaliśmy muzeum w Sanktuarium. Przeszliśmy tam drogę, która składa się z pięciu rozdziałów historii naszych korzeni potwierdzonej różnymi pamiątkami i dokumentami. W tym, co zrobiliśmy z okazji 150 rocznicy Zjawienia, nie chodziło wyłącznie o chęć zatrzymania przeszłości, jak to robi większość z muzeów. Przeszłość otwiera dla nas przyszłość i ukazuje odpowiedzialność, jaka jest przed nami. Historia nieśie w sobie załączek przyszłości, podobnie jak jubileusz, który obchodziliśmy.

Jesteście tu w La Salette, aby przygotować waszą przyszłość w kolebce tego Zgromadzenia, zrodzonego z odpowiedzi kilku mężczyzn, a później także kilku kobiet, na Zjawienie Matki Bożej.

Podczas tych dwóch dni zaproponowano wam odbycie rekolekcji. Dwa dni, które szybko przejdą, ale wy macie okazję odbyć rekolekcje dłuższe, trwające kilka tygodni podczas waszego bezpośredniego przygotowania do ślubów wieczystych. Dla was jest istotne, aby te dwa dni były dniami intensywnych spotkań i dialogu z Jezusem. Jeśli mamy to zrobić, to musimy sobie postawić dwa zasadnicze pytania, Pierwsze: „Dlaczego wybrałem życie zakonne”? To będzie tematem pierwszego dnia, oraz drugie: „Dlaczego w Zgromadzeniu Misjonarzy Saletynów”? To będzie tematem drugiego dnia. Odkryjemy, że te dwa pytania musimy sobie stawiać w ciągu całego naszego życia, w zależności i na miarę naszego duchowego wzrostu, jaki Duch

Święty spowoduje w nas. Postaram się wykorzystać moje osobiste doświadczenia, aby pomóc wam w refleksji.

## CISZA

Chciałbym tego wieczoru jako wprowadzenie mówić wam o ciszy, o wyciszeniu, które jest koniecznym warunkiem, aby rekolekcje się udały. Stawiać pytania samemu sobie, słuchać i rozmawiać z Jezusem można tylko w absolutnej ciszy, ale nie w byle jakiej ciszy!

W rzeczy samej, są dwa oblicza ciszy, lub jeśli wolicie dwa jej rodzaje.

Wicie, że dla nas, współczesnych ludzi, znaleźć chwilę ciszy i zasmakować w niej, staje się pragnieniem i potrzebą odczuwaną zwłaszcza przez tych, którzy mieszkają w hałaśliwych miastach. Na La Salette doświadczamy tego zwłaszcza podczas okresu pielgrzymkowego. Nieprzeliczone rzesze ludzi przychodzą tu, by zwolnić tempo życia, oderwać się od radia i telewizji po to, aby pozostać samym z sobą, odpocząć od tego wszystkiego, co nas stresuje. Szukamy chwili ciszy, która jest nam bardzo potrzebna.

Cisza nie jest jednak celem samym dla siebie. Mileżenie dla samego mileżenia nie ma sensu, niekiedy mówienie jest konieczne. Dla osób samotnych cisza rodzi przykre uczucia. Odżywa ból nieobecności, braku kontaktów. Pomyślmy o wdowach i wdowcach, o chorych i więźniach... Mam gorzkie wspomnienie z pobytu w szpitalu, kiedy pierwszego

stycznia, na próżno oczekiwałem przez cały dzień jakiegoś telefonu z życzeniami szczęśliwego nowego roku!

Jeśli czas ciszy jest osobistym wyborem – dodaje siłę, jeśli długi okres ciszy jest narzucony – zabija.

Jak mówi Kohelet „Jest czas milczenia i czas mówienia” (3,7). To jest mądrość. Ascezę języka polecają wszyscy Mistrzowie duchowni. Trzeba czasu, aby nauczyć się milczeć po to, by powiedzieć to, co warto mówić. Czasami cisza może szkodzić. Istnieje cisza narzucona człowiekowi przez tych, którzy chcą mieć zawsze ostatnie słowo. Jest cisza zazdrości, która przygotowuje zemstę. Jest milczenie tego, który postanowił nie mówić, na przykład na spotkaniach wspólnotowych. Jest zamknięcie się w sobie kogoś, kto nie może nic powiedzieć w obliczu cierpienia. Wiele rodzajów ciszy istnieje w codziennym życiu rodzinnym czy wspólnotowym, w tym cisza, która wiąże się z utratą zaufania, znudzeniem, lub pragnieniem spokoju, aby tylko uniknąć konfliktów.

Jest więc cisza i cisza. Jest cisza, która izoluje, zamyka wszystkie drzwi, i cisza która otwiera człowieka na Słowo, na świat i na siebie samego. Cisza śmierci i cisza życia, cisza kontemplacji. I do takiej ciszy zapraszam was dziś wieczorem...

Jest czas działania i czas na refleksję. Każdy pamięta z okresu dzieciństwa ucieczki na łono przyrody... Każdy może odnaleźć wspomnienie doświadczenia jedności z naturą lub z innymi osobami.

W krótkiej chwili ciszy doświadczenie to może ożyć w nas na nowo, powrócić w naszej pamięci.

Ale jest coś więcej: w głębi ciszy jestem ja sam. Każdy może sobie przypomnieć jakieś bolesne doświadczenia z dzieciństwa, kruchość swojego człowieczeństwa, na przykład w chorobie lub krytycznej sytuacji. O ile życie nas rozprasza, o tyle cisza pozwala nam skoncentrować się na sobie. Często w życiu musimy grać jakąś rolę lub zachowywać jakieś pozory, ale cisza zaprasza nas do otwarcia się na prawdę.

Cały czas trzeba mieć się na baczności. Często przypominam sobie pierwsze miesiące na stanowisku dyrektora hotelu tu, na La Salette, w 1972 r. Za każdym razem, kiedy ktoś zapukał do drzwi mojego gabinetu, miałem wrażenie, że otrzymuję cios pięścią w żołądek. Bałem się, że nie będę umiał rozwiązać kolejnego problemu. Nie miałem doświadczenia i musiałem się dopiero uczyć nowej roli. Kiedy przychodził wieczór – czas na ciszę i modlitwę pozwalał mi odechnąć, odpocząć i rozluźnić się aż do zaśnięcia. Trafne odpowiedzi i sprawiedliwe działanie kosztują wiele energii. W ciszy zaś odnawiają się zasoby energii.

Dla tych, którzy szukają Boga i chcą Go słuchać, tak jak my w czasie tych rekolekcji, przeżycie dwóch dni w kompletnej ciszy jest niczym, nawet podczas posiłków. Napisane jest w Biblii (1Kr 19,12), że Eliaz nie znalazł Boga ani w huraganie ani w trzęsieniu ziemi ani w ogniu, ale w powiewie łagodnego wiatru.

Na zakończenie przywołam zdanie często powtarzane przez pielgrzymów. „U was można usłyszeć ciszę.” W muzeum widzieliśmy, jak ważny był opatrnościowy sen dzieci przed Zjawieniem, moment, który przygotował je na spotkanie i na orędzie Pięknej Pani.

W naszych modlitwach, tego wieczoru przed pójściem spać, na przykład podczas Kompletu poprośmy Pana, aby pozwolił nam zakosztować tej ciszy, w której można Jego spotkać i słuchać w prawdzie.

### **DŁACZEGO WYBRAŁEM ŻYCIE ZAKONNE?**

(PIERWSZA KONFERENCJA)

Od kilku tygodni przygotowywałem się z obawą do towarzyszenia wam w waszych rekolekcjach. Z jednej strony nie jestem kompetentnym specjalistą w prowadzeniu rekolekcji, z drugiej strony – nie mogę angażować się w to zadanie bez zakwestionowania samego siebie.

Według sugestii księdza Izidro, to co wam powiem, będzie raczej świadectwem mojej życiowej drogi, niż wykładem oficjalnego magisterium. Nie lubię mówić o sobie, ani umieszczać siebie na pierwszym miejscu. Dlatego myślę, że moja próba stawiania sobie pytań, pozwoli wam przebyć w ciągu tych dwu dni tę samą drogę ramię w ramię z Jezusem.

Mam świadomość, że to jest ważne dla was, przygotowujących się do złożenia daru z siebie i zaangażowania się w na całe życie w Zgromadzeniu.

Tę rana chcę wam zaproponować kontemplację wychodząc od obrazu Chrystusa-Pantokratora z Bazyliki. Jeśli nie będzie zbyt zimno, będziecie mogli udać się do Bazyliki, aby zobaczyć oryginał. Tu macie reprodukcję, połóżcie ją na stole, abyście mieli ją przed oczyma podczas tego spotkania. Zachowajcie ją na pamiątkę naszej kontemplacji Zbawiciela.

Na początek trochę historii. Kiedy w latach 80-ych kończono odnawianie Bazyliki, surowość ścian pozwalała w pełni cenić odnowione witraże. 15 tajemnic różańca i sceny ze Zjawienia na nowo zajaśniały wśród kamiennych murów. Natomiast sklepienie w absydzie i ściany czołowe naw lateralnych wydawały się czekać na coś, co nam, współczesnym, mówiłoby o tajemnicy Chrystusa i roli Maryi w życiu pielgrzymów XX wieku.

Kiedy któryś raz z kolei nawiedziłem kościół św. Hugona w Chartreuse, zafascynowały mnie obrazy Arcabasa, który przedstawiał całą Biblię i Ewangelię jakby w obrazach komiksowych. Zaprosiłem więc Arcabasa (Jean-Marie Piro), aby na La Salette poddał się atmosferze tego miejsca. W trakcie wielu rozmów powstał projekt, najpierw dla naw bocznych a później dla absydy. Nasze pierwsze kontakty zaczęły się w 1987 r. Medytacja, którą wam proponuję, jest bardziej owocem mojej osobistej refleksji, aniżeli próbą omawiania dzieła artysty, czego zresztą żaden artysta nigdy nie lubił. On pozostawia nam

wolność, abyśmy widzieli jego dzieło każdy na swój sposób.

Wchodząc do Bazyliki głównym wejściem, natychmiast spotykamy się z Chrystusem w chwale, którego wizerunek wypełnia całe sklepienie absydy. Jego spojrzenie jest skierowane bezpośrednio na nas, i idzie za nami wszędzie, w którąkolwiek stronę Bazyliki się skierujemy. On ma tak samo piękne, szeroko otwarte oczy jak nasi bracia Hindusi. Czy nie macie takiego wrażenia?

Siła tego monumentalnego obrazu tkwi w przedstawionej Osobie. Narzuca swoją obecność, cichą lecz rzeczywistą. Jeśli się ją akceptuje bez odwracania wzroku, staje się zaproszeniem do dialogu. Po chwili zaskoczenia – poddajemy się fascynacji.

Znacie Dostojewskiego, rosyjskiego pisarza i Simone Weil, nawróconą filozofkę? Dostojewski powiedział, że piękno zbawi świat. A Simone Weil myśli, że zbawia spojrzenie. Oboje mają rację. A jeszcze ściślej: wszystko zależy od tego, do czego ja się przybliżam.

Kiedy zbliżam się do chorego czy zranionego, moje serce przemienia się podobnie jak Samarytanina z Ewangelii. Jego spojrzenie pozbawia moje serce egoizmu i czuję, jak rodzi się we mnie współczucie. Noszę w pamięci obraz Matki Teresy pochylającej się nad biednymi na ulicach Kalkuty.

A więc zbliżmy się bez obaw do Pantokratora – jak dzieci, Maksymin i Melania, zbliżyły się do Maryi odpowiadając na Jej zaproszenie: *Zbliżcie się moje*

*dzieci, nie bójcie się.* Często towarzysząc pielgrzymom w ich szczególnym doświadczeniu. W miarę jak nawą centralną wchodzimy w głąb Bazyliki wpatrując się w to imponujące oblicze, wydłuża się ono i staje bardziej ludzkie, według kanonów ikonografii. To jest możliwe jedynie dzięki efektowi optycznemu (krzywizna wycinka kuli sklepienia absydy). Jest to doświadczenie nieobce każdemu, kto się przybliży do Jezusa w Ewangelii. Im bardziej się do Niego zbliżamy, tym mniej nas On przytłacza, tym bardziej staje się ludzki, tym bardziej czyni nas samych ludźmi. Czyż nie jest tak samo w naszych ludzkich relacjach? Dziś, w kontekście globalizacji, humanizacja staje się coraz bardziej aktualnym tematem naszych czasów.

Znana pieśń może nam pomóc w pogłębieniu tego doświadczenia. Ja często sobie ją nucę. „Il a posé sur moi son regard, un regard plein de tendresse”:

*Nie bój się niech patrzy na ciebie Chrystus.  
Pozwól mu patrzeć, bo On cię kocha  
On spojrzal na mnie  
spojrzeniem pełnym czułości/  
On spojrzal na mnie  
spojrzeniem pełnym przyrzeczeń.*

*On spojrzal na mnie  
i powiedział: chodź i naśluduj mnie.  
On spojrzal na mnie  
i powiedział chodź i nie bój się.*

*On spojrzal na mnie  
i zobaczyłem, że On szlocha.  
On spojrzal na mnie  
i zobaczyłem, że On mnie kocha.*

Czyż to nie jest sedno Wielkiej Nowiny, którą Maryja przychodzi tu, na La Salette, nam przypomnieć? Wielka Nowina o miłości Chrystusa do swojego ludu, Wielka Nowina Jego miłości, którą objawia nam w Swoim spojrzeniu?

Doświadczyć tego, to znaczy odnowić przeżycia św. Franciszka z Asyżu przed krzyżem Chrystusa w kościele św. Damiana. On także doświadczył tego spojrzenia Chrystusa. On także rozpoczął od odkrycia oblicza rozmyślając o Chrystusie. Doświadczył tej formy modlitwy – kontemplacji wielkich oczu, które widzą głębinę serca, z wielką, rozbrajającą dobrocią i bolesnym zapytaniem. Z tego pytania zrodziła się modlitwa, którą możemy powtórzyć za św. Franciszkiem:

„Boże Najwyższy i Chwalebny. Oświeć ciemności mojego serca. Daj mi wiarę prostą, mocną nadzieję i doskonałą miłość. Pozwól poczuć Ciebie i poznać, abym mógł wypełnić Twoją świętą wolę, która nie pozwoli mi zbłądzić.”

Modlitwa św. Franciszka jest oddaniem się całkowicie do dyspozycji, on nie pragnie niczego innego jak światła, zrozumienia i poznania duchowego, rozpoznania woli Bożej względem siebie i umiejętności jej realizacji. Podobnie jak młody Samuel: „Mów Panie, twój sługa słucha”, (1 Sm 3).

W Asyżu św. Franciszek kontemplował Chrystusa Ukrzyżowanego. Na La Salette rozmyślamy o Uwielbionym Chrystusie, naznaczonym krzyżem cierpienia. Jednak przypomnienie Pasji nie jest symbolem klęski, która zmu-

sza do płaczu, a przeciwnie – pamiątką zwycięstwa nad śmiercią. On przeszedł przez śmierć i zmartwychwstał, a jego ludzkie oblicze jest obliczem BOGA ŻYJĄCEGO.

Przekonujemy się podobnie jak św. Franciszek, że Bóg ma oblicze, że On przyjął nasze oczy, aby patrzeć na naszą ziemię, że przyjął nasze usta, aby mówić ludzkie słowa. Razem z Franciszkiem uświadamiamy sobie, że Bóg jest miłością ukrzyżowaną i Jego Rany nie mogą się już zbliżnić w Jego sercu.

Poruszony aż do łez św. Franciszek powie swoim rodakom „Miłość nie jest kochana, Miłość jest niepoznana”. Czyż dla nas nie łączy się to ze słowami Maryi na La Salette, przedmiotem Jej skargi wypowiedzianej ze łzami? „Jeśli chcę, aby mój Syn was nie opuścił.”.. Tak bardzo nie jest uznana szalona miłość, jaką On nas ukochał!

Wychodząc od tego szczególnego doświadczenia jako źródła swojego powołania, chrześcijaństwo nie będzie dla Franciszka już więcej ani rytuałem, ani doktryną, ale rozpoznaną i adorowaną Twarzą. Jego modlitwa stanie się przede wszystkim kontemplacją widzialnego Chrystusa. Dlaczego nie może być tym samym dla nas?

Modlitwa sercem, intuicją i wzrokiem. To wcale nie oznacza modlitwy czysto afektywnej; znajomość Miłości nie jest oddzielona od znajomości wiary. Jej obiektem nie jest abstrakcyjna idea filozofów, ale ON ŻYJĄCY.

„Słowo stało się Ciałem i zamieszkało między nami, a my WIDZIELIŚMY jego chwałę.” „Kto mnie widzi, widzi Ojca.” – powiedział Jezus do Filipa (J 14, 9).

Ten, kto nauczy się widzieć oczami ducha Bożą obecność, staje się kontemplatykiem. W tym wzglądzie jesteśmy bardzo bliscy naszym braciom prawosławnym, dla których widzieć znaczy to samo, co spełnić akt liturgiczny. Wschód kontempluje oczyma serca, podczas gdy Zachód, kierujący się rozumem, próbuje Boga zrozumieć. Sama cześć dla ikon jest już dla naszych braci formą modlitwy. A my znajdujemy się przed Chrystusem Pantokrátorem jak przed Ikoną.

Zbliżając się do niego zauważamy jego otwarte ramiona, przyjmujące nas w geście wstawiennictwa Tego, który jest Pośrednikiem Nowego Przymierza (Ffbr 8), przymierza przypominanego przez tęczę oraz tajemnicę Pojednania w Mszy św. o Matce Bożej Saletyńskiej.

Lewa ręka na wschód – jak mówią Malgasje, to Boże ramię jest mocne i zbawiające, jest ramieniem wyciągniętym (Ez 20,33). To ramię, które rozprasa wyniosłych i zrzuca z tronu mocnych. Na prawo, na zachód dłoń otwarta, miłosierna, która wywyższa pokornych i napelnia dobrami zgłodniałych i ujmuje się za swoim służą Izraelem. To jest treść magnifikatu Maryi (Łk 1,46-55), który śpiewamy każdego dnia.

Nie można znaleźć lepszego obrazu ramienia Syna, o którym Maryja mówi, że nie może go więcej podtrzymać (a nie,

jak to próbowano tłumaczyć w kontekście duchowości dziewiętnastowiecznej, powstrzymać).

Ale ten Chrystus, patrzący na nas, cóż ma nam do powiedzenia? Jakie pytania nam stawia?

Pierwsze, które może podczas całego tego dnia brzmieć wewnątrz nas to: Dlaczego ty chcesz mnie naśladować w życiu zakonnym? Popatrz na swoje życie, stojąc przede mną. Przypomnij sobie wszystkie te znaki, które ci dałem, abyś je zrozumiał jako coraz bardziej wyraźne wezwanie.

Podczas całego naszego życia będziemy stawiać sobie to pytanie nie tylko z okazji ślubów wieczystych. Tak już jest w życiu, że różne wydarzenia, które wytyczają nam drogę, zmuszają nas do dawania sobie odpowiedzi. Te nasze odpowiedzi w ciągu naszej pielgrzymki z dnia na dzień będą się stawać coraz głębsze. To cudowne, jak życie nas oczyszcza i daje nam wzrost, jeśli zachowujemy kontakt z obliczem Chrystusa i nie odwracamy od niego wzroku.

## DRUGA KONFERENCJA

Są chwile w życiu każdego, które nawet jeśli krótkie, zapadają w nas na całe nasze życie. Odczytując na nowo moje życie w obliczu Chrystusa, który na mnie patrzy, powracam często w pamięci do chwili bardzo ważnej: miałem 9 lat w 1944 r. Niemcy hitlerowskie okupowały Francję podczas drugiej wojny światowej. Po szkole proboszcz w mojej

wiosce uczył nas ministrantury, a ponieważ była wtedy zima dokonywało się to w kuchni plebanii.

Pamiętam, że pewnego wieczoru człowiek ubrany w gruby płaszcz, który zakrywał mu nawet twarz, zapukał do drzwi. Proboszcz rozmawiał z nim kilka chwil ściszym głosem, a później wrócił do nas jakby nic się nie stało. Później dowiedzieliśmy się, że chodziło niewątpliwie o Żyda, który przyszedł prosić o pomoc w przekroczeniu granicy szwajcarskiej. Byliśmy od niej oddaleni jedynie o kilka kilometrów, w Wysokiej Sawoi, niedaleko Genewy. Następnego dnia, idąc do szkoły dowiedzieliśmy się o smutnym zdarzeniu: nasz proboszcz został przez Niemców aresztowany i uwięziony. Później został wywieziony do obozu koncentracyjnego w Buchenwaldzie, gdzie umarł z wyczerpania tuż przed wyzwoleniem, w 1945 r.

Byłem bardzo poruszony i zrozumiałem, że proboszcz oddał życie, aby uratować innych: Żydów, których szukano w celu ich wyniszczenia. Nasz proboszcz stworzył grupę oporu młodych, którzy chcieli ratować prześladowanych w całej Europie. Hitler uważał Żydów za rasę niższą, którą należy zlikwidować. Dar z życia naszego proboszcza został oficjalnie podkreślony przez państwo Izrael po wojnie, ponieważ został on zaliczony w poczet Sprawiedliwych Wśród Narodów Świata, a jego imię figuruje w Yad Waszem w Jerozolimie.

Nie wiem dlaczego, ale powiedziałem sobie wtedy: „Dlaczego go nie zastąpisz?”

To pytanie narzucało mi się bardzo często jako wezwanie pochodzące od Ducha Świętego. To było pierwsze powołanie, jak ziarno wrzucone po to do mojego serca, aby wykiełkowało. Świadcstwo mojego proboszcza zapadło we mnie głęboko – nie zapomniałem o nim nigdy. W końcu poprosiłem rodziców, abym mógł wstąpić do gimnazjum – małego seminarium w mieście, gdzie ono się znajdowało w 1945 r. Ponieważ nie mieszkalem w internacie, miałem wiele możliwości zaangażowania się odpowiedniego do mojego wieku: jako ministrant, skaut, w małym teatrze, w malarstwie, chodząc w góry... Byłem blisko związany z wikariuszami tej parafii i powoli poznawałem ich posługę, ale także ich samotność.

Ofiarować swoje życie! Ale w jaki sposób? Często przez gimnazjum prze-wijali się misjonarze, dając świadectwa życia: Ojcowie Biali, Salezjanie, Kapucyni i inni. Ich konferencje otwierały nam horyzonty i dodawały nam ducha misyjnego. Ale moi rodzice chcieli przede wszystkim, abym skończył studia wyższe. Mieli rację i to była mądrość z ich strony, aby mi zapewnić wykształcenie, bez zamykania horyzontów. Młodzieńcze sny mogły się szybko rozwiązać i dać miejsce innym planom, zwłaszcza w okresie dojrzewania.

Nastąpiło potem drugie wydarzenie, które naznaczyło moje życie i w którym widziałem nowy znak i być może nowe wezwanie, ale już bardziej sprecyzowane. Każdy rok szkolny w gimnazjum zaczynał się rekolekcjami, które głosili różni



rekolekcjoniści. W 1947 roku rekolekcyjnistą był ksiądz, saletyn, o. Orset (dziś ma 95 lat). Miałem 12 lat. Jego rekolekcje podobały mi się, ale nie miałem jakoś chęci spotkać się z nim osobiście. Stało się to jednak w ostatnim dniu rekolekcji, kiedy wyjeżdżał już z gimnazjum, spotkaliśmy się w drzwiach. Minutę później – a już byśmy się nigdy nie spotkali. Czy to był znak z nieba? On mnie zapytał: „Gdzie mieszkasz?” – odpowiedziałem: „Niedaleko dworca”. – „A ja właśnie idę na pociąg”. Szliśmy więc razem. Bez wątpienia, w jakiś sposób powiedziałem mu o moim pragnieniu bycia księdzem. Ale pamiętam tylko jedną scenę. Na peronie zapytał mnie: „Znasz La Salette?” „Nie”. „Oto mój adres, jeśli zechcesz następnego lata możemy tam pójść razem pieszo.” I w ten sposób odbyłem moją pierwszą pielgrzymkę tutaj. Nie wyobrażałem sobie, co mnie tu czeka, ani tego, że pięćdziesiąt lat później będę mówił do kleryków misjonarzy Saletynów o tym, co się wydarzyło w moim życiu.

Pisząc te zdania, mam świadomość, że jestem w podobnej sytuacji jak ewangelicisci, którzy pisali swoje ewangelie kilkadziesiąt lat po wydarzeniach. Ich pamięć wybrała to, co ważne i co dotyczyło spotkań z Jezusem i Jego Słów. Ale im asystował Duch Święty., a mnie na pewno nie w ten sam sposób.

Od tej pierwszej pielgrzymki byłem pod wrażeniem słów Maryi. Maksymin i Melania nie mogli być okłamani ani nie mogli kłamać. Wszystko, co usłyszeli zgadzało się z Biblią i Ewangelią. Podją-

łem decyzję: czułem się powołany, aby ofiarować moje życie ogłaszając orędzie całemu ludowi Maryi.

Utrzymywałem kontakt z księdzem, którego Pan postawił na mojej drodze, a byłem o tym przekonany. Podziwiałem u niego zdolność pomagania młodym w podejmowaniu życiowego powołania, jakiegokolwiek by ono nie było. Czynił to bezinteresownie. Jeśli poczułbym, że jestem przedmiotem jakiegoś „naboru” powoływania, sprzeciwiłbym się. Pamiętam moją złość w nowicjacie, kiedy pytano mnie, kto mnie zwerbował (było to powiedzenie używane w tym czasie). W każdym razie jego świadectwo pomogło dojrzeć mojemu powołaniu w wolności. W następnych latach podczas wakacji mogłem przekonać się, jak naprawdę żyją we wspólnocie Misjonarze Saletyni. Powoli zrozumiałem, że aby stać się misjonarzem, trzeba być zakonikiem. I aby być wiernym każdego dnia w tym ofiarowaniu życia, wspólnota będzie mi niezbędna. Już wcześniej zastanawiała mnie samotność księży diecezjalnych. Nie czułem się zdolnym naśladować ich wierności przez dłuższy czas. Być świadkiem osobistej wierności Bogu naśladowując Chrystusa samotnie – nie jest możliwe. Życie wspólnotowe wydało mi się konieczne do tego, co wybrałem. Chciałem już od trzeciej klasy wstąpić do apostołskiego zgromadzenia we Voiteur. Ale Ojciec, w porozumieniu z moimi rodzicami, odradził mi to: „Dobrze się uczysz w La Roche i mieszkasz z nami, internat nie jest najlepszym rozwiązaniem dla

ciebie”. Później zrozumiałem, jak bardzo miał rację. Lata minęły i naciskałem, abym mógł zacząć nowicjat razem z moimi rówieśnikami po pierwszych egzaminach. Moi rodzice nie zgodzili się z prostej przyczyny: Nie opuścisz domu przed zdaniem obu egzaminów (tzw. pierwszego i drugiego bakalaureatu), ponieważ jesteśmy przekonani, że nie wytrzymasz sześciu miesięcy w nowicjacie! W tym przypadku także na początku się buntowałem, ale później dziękowałem i odbyłem swój nowicjat mając 20 lat. Było to lepsze rozwiązanie.

W waszej wymianie doświadczeń na temat historii swojego powołania, z pewnością zauważyliście, że drogę naszego życia wyznaczają spotkania z różnymi świadkami. Niektórzy zapraszają, aby ich naśladować i być z nimi, by czynić to, co oni i pójść tą samą co oni drogą. Poprzez nich zawsze zaprasza Chrystus. Powołanie musi pochodzić od Niego. On do nas bez przerwy mówi poprzez wydarzenia i osoby, aby mógł powierzyć nam misję do wykonania. I tylko na modlitwie i w dialogu z formatorami może dokonać się rozeznanie. Ale wezwanie Chrystusa jest zawsze odwołaniem się do wolności człowieka. Jeśli chcesz, chodź i naśladowuj mnie. Jezus dwa razy powtórzył bogatemu młodzieńcowi: „Jeśli chcesz...”. Zapraszam was, abyście porozmýslali nad tym spotkaniem Jezusa z bogatym młodzieńcem (Mt 19, 16-30).

Trzecie wydarzenie, które zaważyło na moim życiu, rozegrało się w roku poprzedzającym nowicjat, kiedy rzeczy-

wiście zastanawiałem się nad tym spotkaniem Jezusa z młodym człowiekiem. Mój starszy brat żenił się. Oczywiście byłem na ślubie, ubrany w nowiutkie ubranie. Widziałem mojego brata promieniącego miłością, która go przemieniła. Kiedy młodzi już wprowadzili się do swojego pierwszego mieszkania, byłem do nich zaproszony na specjalną kolację. To było wspaniałe móc być świadkiem ich wzajemnej wrażliwości na siebie, ich radości z budowania ogniska rodzinnego otwartego na innych... Uświadomiłem sobie wtedy konkretnie, że wybierając życie zakonne, ja to wszystko odrzucam – małżeństwo, dzieci, jakiś dobrobyt, przyjaciół i rodziców... w sumie to, o czym mówił Jezus do młodzieńca w Ewangelii. Bezcenne dla nas są takie doświadczenia po to, abyśmy mogli stanąć w prawdzie.

Nowicjat był rokiem praktykowania życia zakonnego, ale także szczęśliwym. Nigdy w życiu tyle się nie śmiałem. Od początku ksiądz Mistrz wysiłał się, abyśmy pojęli, że konsekracja w życiu zakonnym ma być przede wszystkim poszukiwaniem, a kapłaństwo przyjdzie na końcu naszych studiów, jeśli Kościół nas do tego powoła. Jak wielu innych, z pewnością miałem pewien kryzys po sześciu miesiącach. Uwagi mojego ojca brzmiały mi w uszach: „Czy jestem na swoim miejscu? Czy nie przeceniam za bardzo moich sił? Czy mogę wyobrazić sobie całe życie we wspólnocie, przecież jestem trochę za bardzo idealistą?” Miałem zaufanie do Mistrza, a ponadto spo-

wiednik pomógł mi przełamać te chwile wątpienia. Moja modlitwa stała się bardziej osobista. Ale spowiednik, znając mnie coraz lepiej, kiedyś mi powiedział: „Jesteś bardzo wrażliwy, ta cecha pomoże ci, jeśli będziesz nad nią pracował. Ale jest też druga strona medalu, być może będziesz miał więcej niż inni okazji do cierpienia. Zachowałem to wspomnienie na zawsze, jak cenną perłę, która pomogła mi pokonać wiele życiowych doświadczeń.

W seminarium jeden ze współpraci, z którym się zaprzyjaźniłem, opuścił Zgromadzenie i to mnie bardzo poruszyło. Była to okazja do nowego pogłębienia w wierze otrzymanego powołania. Tego rodzaju odejść przeżyłem później więcej, zwłaszcza tu na La Salette, trzy razy w ciągu 25 lat mojej obecności. Być może sami przeżyliście podobne sytuacje, od chwili waszego wstąpienia do Zgromadzenia. Lepiej się na to przygotować umacniając swoją wiarę, nadzieję i miłość.

Nie ukrywam, że zawsze przeżywałem boleśnie każde odejście, często jako zdradę lub rozwód w mojej rodzinie. Powstawało wówczas we mnie wiele pytań, broniłem się z całych sił, aby nie sądzić tych osób, bo przecież pozostają naszymi braćmi, których należy kochać.

W czasopiśmie „*Vie Consacrée*” ks. Clodovis Boff stawia pytania na temat współczesnej formacji zakonnej. Píše on: „Jeszcze nie mogę się otrząsnąć po nieoczekiwanym odejściu młodego współbrata... Złożyć śluby i zaraz po miesiącu porzucić wszystko? Czyż nie

jest to zaskoczenie i rozczarowanie dla wszystkich? Nie byłoby o czym mówić, gdyby młody człowiek przed złożeniem próby o śluby wieczyste zastanowił się i w pełnej wolności wziął swoje rzeczy i oszedł. Także to może rozczarować, ale takie jest jego prawo. Jednak składać uroczystą profesję, nie mówię będąc w kryzysie, ale składać je z myślą o szybkim odejściu, to z pewnością wzbudza w każdym oburzenie... To oznacza naśmiewanie się z Boga i z ludzi.” Autor stawia także inne pytanie: „Jak to wytłumaczyć?... Dlaczego taka nielojalność, podłość, aby tego nie powiedzieć dosadniej w języku portugalskim? Jedyne wielka lekkomyślność może dopuszczać kompromis w najświętszych rzeczach naszej wiary”. Mówi później o cynizmie, braku szacunku dla świętości i tego, co jest naprawdę ważne. „Nie można opuścić życia zakonnego albo posługi tak lekko, jakby się zmieniało skarpetki”.

Przypomina o pierwszeństwie życia duchowego w formacji do życia zakonnego. To co św. Paweł mówi do Kościoła, odnosi się także do życia zakonnego. „Fundamentu bowiem nikt nie może położyć innego, jak ten, który jest położony, a którym jest Jezus Chrystus.” (1 Kor 3,11).

Tych elementarnych prawd nie możemy nigdy zakładać jako oczywistych, ponieważ wiemy, że jest w nas tendencja do zamykania się na Chrystusa i wartości ewangeliczne. Wartości tych nie można zdobyć raz na zawsze. Trzeba je

zdobyć i każdego dnia walczyć o nie w świecie i z grzechem, których siła nieustannie się w nas ukazuje. Trzeba bez przerwy powracać, aby budować na skale, którą jest Chrystus.

Trzeba to koniecznie podkreślić, że fundamentem i centrum życia konsekrowanego są relacje teologalne, a nie eklezjalne czy pastoralne lub socjalne. Życie konsekrowane jest zakotwiczone tylko w Chrystusie. Konsekracja jest dokonywana bezpośrednio Bogu, nawet jeśli dokonuje się w Kościele i we wspólnocie. Bez osobistej, duchowej relacji do Boga daleko się nie zajdzie. Można upaść przy pierwszym napotkanym kryzysie.

A więc bez wewnętrznego regulaminu składającego się z modlitwy, słuchania Słowa Bożego, rozmyślenia, sakramentów, życie konsekrowane nie może trwać. Często ten, kto odchodzi, już stracił ducha modlitwy, a zwłaszcza modlitwy osobistej. Nieszczęśliwy jest ten zakonnik, który nie ma zwyczaju modlić się w ciszy swojej izby (Mt 6, 6). Jezus sam, aby być wierny Bożej woli często się modlił. Możecie znaleźć na to wiele przykładów w Ewangelii.

Ten dar, o którym mówię, odczuwałem głęboko w czasie przygotowywania się do ślubów wieczystych w 1962 r. To zdobycie „autonomii lotu w życiu duchowym”, to znaczy osobistej zdolności do indywidualnej modlitwy bez pomocy wspólnoty, na przykład podczas mojej służby wojskowej. Modlitwa wspólnotowa, jakkolwiek ważna, nie wystarczy do podtrzymania ognia życia duchowego.

Bez takiej autonomii, która pozwala wzrastać w prawdzie przed Bogiem i przed sobą samym, wcześniej czy później zakonnik upadnie pod ciężarem doświadczeń, tak jak samolot, któremu brak paliwa, i któremu brakło już autonomii lotu. A jeśli zakonnik nie odchodzi, to tylko z lenistwa lub z bezwolności. W takim przypadku będzie przeżywał swoje zaangażowanie w sposób mdły zarówno w życiu braterskim, jak i w pracy apostołskiej.

Uwiercie mi, w każdą rocznicę swoich ślubów powtarzam sobie: Jeśli jestem jeszcze zakonnikiem, to nie jest to mój błąd! To dzięki łasce Tego, którego się uchwyciłem, i do którego się modłę codziennie.

Zostawiam was z Jezusem twarzą w twarz, on nie przestaje na was patrzeć.

„Nie bój się, niech patrzy na ciebie Chrystus. Pozwól mu patrzeć, bo On cię kocha.”

Spróbujmy odpowiedzieć przed nim w ciszy na pytanie, które on stale ponawia: Dlaczego wybrałeś życie zakonne? Czy jesteś gotowy z pomocą mojej łaski ponawiać ten wybór przez całe twoje życie?

## DRUGI DZIEŃ, PIERWSZA KONFERENCJA

Mówiłem wam, że w czasie pierwszej pielgrzymki La Salette zrobiło na mnie ogromne wrażenie. Byłem bardzo młody i poczułem, że słowa Maryi zgadzają się doskonale ze słowami Pisma Świętego. Przypominają nam one to, co zasad-

nicze w sposób konkretny i aktualny. W czasie studiów miałem możliwość lepiej zapoznać się z sensem i wydarzeniem z La Salette. Byłem jednym z pierwszych, którzy wtedy mogli zrobić coś pozytecznego w czasie swojej służby w wojsku, zamiast pójść na wojnę w Algierii. Po dwóch latach filozofii i po pierwszym roku teologii fundamentalnej w Rzymie unieważniłem moje odroczenie i zdecydowałem się pojechać dobrowolnie pełnić służbę zastępczą na Madagaskarze. Miałem szansę ukończyć ją w ciągu jednego roku.

Znalazłem się więc w Tananarivie na Wielkanoc 1959 r. a później, 1 stycznia 1960 r. w małym seminarium w Antanifotsy, u naszych ojców saletynów w diecezji Antsirabe. Byłem prawie przez dwa lata szkolne nauczycielem, co w sumie stanowiło trzy lata przerwy w moich studiach w seminarium. Nigdy tego nie żałowałem, ponieważ czas ten wpisał się głęboko w moje życie i dał mi, jak sądzę, ducha misyjnego.

Na Madagaskarze rozumiałem wiele rzeczy. Po pierwsze – jeśli Maryja skierowała swoje słowa do biednych na La Salette to dlatego, że wiedziała, iż biedni mają serca odpowiednio gotowe na przyjęcie orędzia i zrozumienie go. „Błogosławieni ubodzy w duchu (którzy mają serce biednego), bo do nich należy królestwo niebieskie.” (Mt 5, 3) Ona sama była ubrana w strój wieśniaczki, kobiety z tych okolic. Mówiła językiem konkretnym o rzeczach istotnych w tym czasie i dla tego kraju: o zgniłych ziem-

niakach i winogronach, o orzechach, które się psują, o zbożu, które zamienia się w proch, o głodzie, o małych dzieciach, które umierają. Zauważyłem, że ten język jest odpowiedni do sytuacji na Madagaskarze, podobnie jak w większości krajów Trzeciego Świata. Mogę powiedzieć, że jej słowa miały niesamowitą aktualność.

Opisując swój ból, ukazała się jak matka, która już nie wie, co jeszcze ma zrobić dla swoich dzieci. Tę rolę matki Malgasze rozumieją bardzo dobrze. Matka musi dać codziennie jeść swoim dzieciom – to jest zadanie matki. Obietnica obfitości dla wszystkich zgłodniałych, jeśli się nawrócą, może zmobilizować wszystkich chrześcijan do pracy nad rozwojem, sprawiedliwością i odpowiedzialnością. La Salette ma swoje ważne miejsce na Madagaskarze, aby pomagać w ewangelizacji, jak to zresztą widać po owocach pracy.

Oto co tam rozumiałem. A czy mogłem w inny sposób odpowiedzieć na wezwanie Chrystusa, o którym myślałem w modlitwach, i którego rozpoznawałem w biednych. „Dlaczego wybrałeś Misjonarzy Saletynów?”

Aby wypełnić obowiązek dwuletniej służby wojskowej, wystarczył jeden rok służby zastępczej na Madagaskarze. Ta służba, przedłużana na moją prośbę, pozwoliła mi lepiej poznać i pokochać Madagaskar i Malgasy, a ponadto nie odjechałem z tego kraju ze wspomnieniami zbyt idealistycznymi. Aby poznać jakiś naród, poznać jego wady i zalety,

docenić ich wartości, dzielić radości i troski, poznać ich kulturę i zwyczaje, na to trzeba, tak jak w każdym innym przypadku, dużo czasu. Być może, nigdy bym nie przesiał, nie zakotwiczył i nie umocnił motywów mojego powołania bez tego przedłużonego pobytu na Madagaskarze. Na szczęście, Pan Bóg doskonale wie, co zrobić, aby nas uformować według swojego serca. On umie nas wychowywać z cierpliwością w ciągu całego naszego życia, podobnie jak to czynił ze swoim ludem opisanym w Biblii.

Ta miłość do Madagaskaru sprawiła, że stałem się zapalonym ochotnikiem mojego tam powrotu. Śniłem wyłącznie o powrocie tam już po święceniach. Było to połączone z miłością do La Salette. Podczas studiów nad Pismem Świętym w seminarium zawsze próbowałem zrealizować radę, którą dał nam w nowicjacie ks. P. Rahier, rekolekcjonista (trzy razy głosił nam rekolekcje): „Bądźcie zawsze uważni, kiedy czytacie Pismo Święte, aby wychwycić wszystko, co wam przypomina La Salette, wszystko, co wam pomoże zrozumieć jego biblijne bogactwo.”

Wiem, że ks. Marcel Schlewer będzie wam mówił o aktualności orędzia i proroczym języku Maryi. Tak, Maryja ma wszystkie cechy proroka, o których pisze o. Bruno Chenu w swojej książce *Prorockie przynaglenie* (*L'urgence prophétique*). Ona spełnia każdą z czterech cech, które określają proroka w Biblii; „NOSICIEL SŁOWA BOŻEGO,

W HISTORII, DLA LUDU, WE WŁASNYM CIELE”.

*Maryja jest więc nosicielką Słowa Bożego*, obrazem swojego Syna, Słowa Bożego. Podobnie jak On mówi w pierwszej osobie: „Przyszłam ogłosić wam wielką nowinę,... ukazałam wam,... dałam wam sześć dni do pracy, siódmy zastrzegłam sobie.” Prorok jest czymś więcej niż heraldem, niż rzecznikiem, bardziej niż kaznodzieją... Maryja ogłasza niektóre bolesne wydarzenia, ale ogłasza je jako „znaki”, które należy zrozumieć jako mowę, a nie jako przepowiednię. Ona rozumie je tak, jak rozumieci prorocy – jako orędzie do ogłoszenia w świetle wydarzeń.

Jej słowo jest słowem samego Boga, który wybrał ludzkiego zastępcę, napelnionego Bogiem, kogoś szalonego i głupiego dla Boga. Pomyślmy o tych wszystkich powołaniach w Biblii, które zawierają w sobie wezwanie do pójścia i posłanie, słowo i sposób na przywrócenie zerwanej więzi między Bogiem a ludźmi. Maryja stała się nosicielką słowa w chwili, kiedy Jezus na krzyżu oddał nas w jej opiekę: „Niewiasto oto syn Twój oto Matka twoja” (J 19, 25–27).

Słowo, które wychodzi z jej ust (podobnie jak słowo proroków) ma podwójne ostrze: sądu i zbawienia, groźby i obietnicy, nieszczęścia i dobra. Ono oskarża: „Nie sobie z tego nie robicie... Chodzą do jatek jak psy... To tylko z waszej winy...” Ono oskarża, ale także umie przebaczać i leczyć. Obok groźby jest

zawsze współzucie, obok ciemności jest nadzieja: „Jeśli się nawrócą, kamienie i skały zamienią się w sterty zboża.”

*Nosicielka Słowa Bożego w historii.* Od chwili śmierci i zmartwychwstania swojego Syna, Maryja (podobnie jak prorocy) działa w historii swojego ludu. Ona bierze tę rolę na serio i mówi do nas na La Salette: „Od jak dawna już cierpię za was”. Tak jak prorocy, Maryja przynosi słowo, które działa w historii Ludu Bożego: „Pokazałam wam to... Muszę się za was nieustannie modlić.”.. Jeśli Pan działa przez swoje słowo powierzone prorokom, to uruchamia także swoje ramię i swoją rękę w wydarzeniach proroczych. Ramię lub ręka Boga jest symbolem jego mocy. Ręka, która ciąży, która zmiata przeciwieństwa (strąca władców z tronu), która daje zbawienie. On zbawia swój lud ręką mozną i wyciągniętym ramieniem.

Oblicza Boga, które pokazuje prorok, a odnosi się to także do Maryi na La Salette, ukazują w większości przypadków: Świętość Boga, Boga zawierającego przymierze, Boga miłosiernego. On odważył stać się naszym partnerem. A kiedy jeden z partnerów zawiedzie, to podobnie jak w historii ludu Bożego, tak i dzisiaj jesteśmy świadkami „cerowania”, naprawy tego przymierza. Porównaj z historią Ozeasza. Pierwsi pielgrzymi doskonale pojęli, że właśnie o to chodziło Maryi, bo nazwali ją Pojednawczynią Grzeszników. Czy chcesz podjąć tę misję - zdaje się pytać Chrystus w na-

szym rozmyślaniu. Czy chcesz być prorokiem pojednania za przykładem mojej Matki, będąc nosicielem moich Słów, w historii mojego ludu?

*Dla ludu:* Bóg nie może stracić nadziei, którą pokłada w swoim ludzie. On nie może zdecydować się na karę w imię swojej świętości i swojej wierności. To co się dzieje w relacjach międzyludzkich interesuje go do samej głębi, a Maryja jako prorok odczuwa to, co Bóg odczuwa w jego relacji do świata. Ona także nie może stracić nadziei pokładanej w swoim ludzie.

Porównaj (Iz 54, 7-8) „Na krótką chwilę cię opuściłem, ale z ogromną miłością cię przysparzę. W przystępie gniewu ukryłem przed tobą na krótko swe oblicze, ale w miłości wieczystej nad tobą się ulitowałem, mówi Pan twój Odkupiciel.”.

Czyż łyż Maryi nie są echem tego żalu, który Bóg ma do swojego niewiernego ludu, a jej obietnice nie przypominają Jego wiernej miłości?

Zarówno Maryja jak i prorocy, wyrażają to Boże zaangażowanie w historii, w nauczaniu ludu odczytywania znaków czasu, w odczytywaniu Bożych planów, jakie On ma względem swojego ludu w ciągu wydarzeń. To jest po części to, co my sami robimy patrząc na swoje życie w świetle Chrystusa.

W historii ludu Bożego, w kontekście jakiegoś nieszczęścia lub niebezpieczeństwa Bóg zawsze broni swojego ludu, w niewoli egipskiej lub babilońskiej, zagrożeniu ze strony obcych kultów, osła-

bieniu rządów, w momentach krytycznych kiedy samo istnienie ludu jest zagrożone. Kiedy zastanawiamy się nad okolicznościami zjawienia na La Salette, to czyż Maryja nie przychodzi w takiej właśnie sytuacji?

Zastanawiając się nad teraźniejszością prorok odsyła do historii antenatów, która jeśli nie jest całkowicie akceptowana w wierności, obciąża dodatkowo zagrożenia przyszłości. Przed ludem jest więc wybór: życie lub śmierć. Porównaj książkę M. Schlewera *Wybierzcie więc życie*. Prorok niesie nadzieję ludowi: On wierzy, że zbawienie jest możliwe, pod warunkiem, że lud się nawróci. To umacnia i gwarantuje naszą nadzieję.

*W wierności swojej misji prorok angażuje się całym sobą, także ciałem.* To jest czwarta cecha w naszej definicji proroka. Jego wezwanie do nawrócenia (powrotu z manowców) wymaga, aby sam zaświadczył o spójności życia ze słowami. W Bożym wezwaniu jest wymaganie, aby posłaniec stał się orędziem. On nie może się zadowolić ujawnieniem religijnej hipokryzji, która oddziela kult od życia codziennego, w którym powinna być widoczna wiara i pomoc bliźnim. W ciągu całego naszego życia odczuwamy tę konieczność przemiany siebie w orędzie.

J. P. Prévost w książce: *Pour lire les prophètes* napisał: „Nie jest się prorokiem jedynie w ustach, ale w ciele i we łzach, w miłości i w upadkach, we wszystkim co się składa na życie ludzkie.” Życie wszystkich proroków, włączając w to także tych współczesnych, świadczy o tej

prawdzie. Także Maryja jest tego świadkiem dla nas w swoim zjawieniu.

Mam w pamięci świadectwo o. Kolbe. To było w czasie spotkań rad prowincji europejskich, kiedy odwiedziliśmy celę śmierci w obozie w Oświęcimiu. On także oddał swoje życie, aby ratować życie kogoś innego. Kiedy słowa się zużywają albo tracą na wartości, jedynie gest może zaszokować i wywołać pragnienie nawrócenia. Podobnie silne wrażenie zrobiła na mnie wizyta przy grobie ks. Popiełuszki.

„NOSICIEL SŁOWA BOŻEGO, W HISTORII, DLA LUDU, WE WŁASNYM CIELE”. Oto, co motywowało moje przywiązanie i mój wybór La Salette, ale stawało się to powoli, stopniowo aż do dzisiaj.

Zaangażować się na całe życie w naśladowanie Chrystusa i Maryi w Zgromadzeniu Misjonarzy Saletynów znaczy wybrać drogę, której nie możemy jeszcze teraz znać, jest ona pełna niespodzianek, pełna wydarzeń i spotkań, które mogą nas napęłnić lękiem przed naszą słabością. Powiem o tym w czasie naszego ostatniego spotkania. Znaczący to jednak, że powinniśmy odpowiedzieć zaufaniem. Trzeba żyć z przeświadczeniem, że zaproszenie Maryi będzie bez przerwy ponawiane, aby nas obudzić, aby dodać nam odwagi, dyspozycyjności i hojności: „Zbliźcie się moje dzieci, nie bójcie się... Jestem zmuszona nieustannie prosić Go za was.” Każdy niech sobie to uświadomi!



## OSTATNIA KONFERENCJA

Jeśli nie jesteście znudzeni tym co mówię, przyjmując za punkt wyjścia moje życie, chciałbym przywołać kilka innych wydarzeń, które być może spowodowały moje wzrastanie.

Po moich święceniach, tutaj, w czasie Wielkanocy w 1964 r. wydawało mi się czymś zupełnie naturalnym zgłosić chęć powrotu na Madagaskar. Marzyłem jedynie o tym. Po tym, co tam przeżyłem, w jaki lepszy sposób mógłbym ofiarować moje życie dla Królestwa? Ale musiałem odbyć staż jednego roku na parafii, aby przygotować się do duszpasterstwa. Wspaniały rok odkryć, radości z udzielania sakramentów, radości ze spotkań z ludźmi, ze współpracy z innymi księżmi i świeckimi. Kiedy ten rok się skończył, poproszono mnie, abym poczekał jeszcze jeden rok, była potrzeba zastąpienia profesora czwartej klasy w szkole apostołskiej w Yoiteur. To był mój pierwszy duży akt posłuszeństwa. Odpowiedzieć na nagłą potrzebę Zgromadzenia. Nie czułem się specjalnie uzdolniony do nauczania po moim doświadczeniu na Madagaskarze. Ale oddałem się temu cały, ponieważ nie lubiłem robić czegoś połowicznie.

To nie była rezygnacja, kiedy pod koniec tego zastępstwa, prowincjał powiedział do mnie: Bardziej pomożesz w pracy na Madagaskarze pozostając we Francji. Proszę Cię abyś rozpoczął działalność duszpasterstwa pomocy misjom S.M.A.M. które ma się zająć pomocą

provincji Francuskiej dla Madagaskaru. Podobne rozczarowania mogą istnieć nie tylko u Saletynów, ale wszędzie. Trzeba było zrezygnować z pragnień, aby rozpocząć pracę w tym przedsięwzięciu, które było planowane już od dawna. Odwołano się do mojej dyspozycyjności, aby moją wolą stała się wola Boża wyrażona przez przełożonych.

Młody region Madagaskaru miał ogromne potrzeby, aby zapewnić utrzymanie młodzieży szukającej powołania. Chodziło o przyszłość i rozwój misji na Madagaskarze. Aby ta pomoc była efektywna, podpisaliśmy szczegółową umowę, że będziemy wspierać konkretne projekty, przedstawiane każdego roku przez przełożonego regionu lub dystryktu. Powstało wtedy, na bazie czasopisma „Mój lud”, grono pierwszych dobrodziejów.

Wspólnie z innymi zgromadzeniami uczestniczyliśmy w tygodniach animacji misyjnej w parafiach. Ja jeździłem wtedy po całej Francji z wystawą przedmiotów rękodzieła malgaskiego. W lecie była ona w sanktuarium, a ja wtedy byłem zaangażowany w duszpasterstwo na La Salette, starając się budzić odpowiedzialność ludzi ochrzczonych za misje. Stworzyłem grupę współpracowników i radością była dla mnie współpraca w grupie z dwoma księżmi i bratem zakonnym, a także kilkoma ludźmi świeckimi.

Wtedy doświadczyłem tego, o czym mówi *Vita consecrata* (21), że „posłuszeństwo zakonne chce ukazać zależność synowską a nie służalczą, bogatą w odpowiedzialność i ożywaną wzajemnym

zaufaniem.” Ostatecznie byłem zadowolony z tego zaufania, jakim mnie obdarzono, w tym powierzonym mi zadaniu. W zimie 1971 r. nowe wydarzenie wpłynęło na moje życie i wymagało ode mnie nowego aktu posłuszeństwa. Prowincjał poprosił mnie na nowo o przekwalifikowanie. Miałem opuścić S.M.A.M. a przenieść się na La Salette, aby zarządzać hotelem. Wyobraźcie sobie moją reakcję – mam opuścić moje „ukochane dziecko”, aby podjąć inną, całkowicie mi nieznaną misję. Trudno mi było to zaakceptować. Nie miałem żadnego doświadczenia ani kompetencji, aby zarządzać podobną instytucją. Ale u Saletynów często się tak zdarza. Obecnie przynajmniej staramy się dać odpowiednią formację i przygotowanie. Umrze gdzieś ksiądz – zajmujący się ekonomstwem, lub ekonom pragnie przejść do posługi duszpasterskiej. Trzeba zaradzić w naglącej sytuacji. Tu także, po rozważeniu, stwierdzam, że życie staje się nauczycielem lub mistrzem posłuszeństwa. Na moje pytanie: co będzie ze S.M.A.M. prowincjał odpowiedział: „Zobaczymy później” i zrozumiałem, że na razie trzeba ciągnąć dwa wozy oraz przygotować następcę.

Nauczyłem się więc nowego zawodu u boku mojego poprzednika w ciągu dwóch miesięcy w 1972 r. On przyjął mnie pytaniem: „Ile masz lat?” - „36”. - „Ja objąłem to stanowisko mając 38 i jestem tu 12 lat. A więc bądź tu przez 14.” I pozostałem... 25 lat! Ten wielki hotel był już wybudowany, ale pusty. Należało szybko wyposażyć pokoje, aby

hotel przynosił zysk i aby można było spłacić pożyczki. Byłem więc inwestorem i razem z architektem i ekipą przygotowanych zawodowo braci, których wtedy mieliśmy, prowadziliśmy pracę. Podobało mi się to, zrobiłem wtedy kilka planów dla Madagaskaru. Chętnie podjąłbym się zawodu architekta, gdyby Bóg dał mi takie powołanie.

Nie będę wam opowiadał o tych 25 latach pełnych różnych doświadczeń w zarządzaniu personelem, naszych utarczek z fiskusem i o wielu innych problemach... Życie wraz z rzeszą pielgrzymów miało swoje wymagania i należało je spełnić, nawet jeśli zdrowie nie w pełni dopisywało.

W tej pracy, służąc pielgrzymom, którzy dodawali mi motywacji, poznałem co to znaczy ubóstwo. Oddać się w pełni pracy z minimalnym przygotowaniem zawodowym, czyż nie jest współczesną formą ubóstwa? Naprawdę, zakonnik saletyn musi stać się profesjonalistą: oczywiście na pierwszym miejscu profesjonalistą w znajomości Ewangelii i Zjawienia. Należy od niego wymagać, aby żył zgodnie ze swoimi słobami, w harmonii z tym, czego uczy innych. Bez przerwy powinien udoskonalać swoje kompetencje, angażując się w ciągłą formację. Nie jest ważne, na jakim polu pracuje. Ważne jest, aby był użyteczny w tym co robi, w służbie dla swoich braci. Pierwszą formą ubóstwa jest pracowite życie. Pamiętam moich rodziców, którzy dali mi w tym względzie dobry przykład i tego mnie uczyli.

Leniwi zakonnicy to najgorszy rodzaj, jak pisał o. Clodovis Boff - to ci, których św. Franciszek wyrzucał ze wspólnoty krzyżąc: „Ty, bracie mucho!”.

W 1991 r. rak (choroba Hodgkin'a) doświadczył mnie w inny sposób: zostałem wypróbowany w chorobie. Zaakceptować chorobę nie jest łatwym zadaniem, doświadczyć swojej słabości, wrażliwości. Tak jak Jezus w swojej cielesności stał się słaby, aby nas zbawić. On, Bóg wszechmogący! Trzeba przebyć długą drogę, aby móc powiedzieć sobie na modlitwie: Ojciec oddaję moją duszę i moje ciało w Twoje ręce. Jeśli chcesz, możesz mnie uleczyć, ale niech się spełni Twoja wola. Trzeba wiele czasu, aby sobie powiedzieć: Bóg nie może chcieć zła, ponieważ on jest miłością. A więc do jakiego dzieła miłości chce On mnie teraz zaprowadzić?

Moja choroba trwała około roku, najpierw była chemioterapia, później naświetlanie. Wiele razy w szpitalu, który nazywałem już moim drugim domem. Pielęgniarki i lekarze pytali mnie o moją wiarę. Próbowaliśmy im mówić, że Bóg nie chce choroby i cierpienia. On nie jest tego sprawcą. Ale dał nam trzy bezcenne dary: inteligencję, abyśmy umieli znaleźć środki do leczenia, wolę, abyśmy chcieli walczyć z chorobą, nie opuszczali rąk i współpracowali z lekarzami, i wreszcie serce, abyśmy kochali i mogli być kochani przez braci, którzy nas otaczają, modląc się za siebie, odwiedzając się i szczególnie w tych momentach wyrażali naszą solidarność.

Zachowuję te moje odkrycia, które jeszcze dzisiaj pomagają mi stawić czoła innym problemom zdrowotnym i docenić dar życia, który mi Pan Bóg daje każdego dnia. To cudowne, jak się docenia ten dar, kiedy się przejdzie blisko śmierci. Nigdy wcześniej nie uważałem życia za tak piękny i dobry, cudowny, nieustanny podarunek. Ono jest po to, abyśmy wzrastali w wierze, nadziei i miłości, tolerancji, zrozumieniu tajemnicy innych osób, pokornej wierności jako odpowiedzi na wierność samego Boga, pełnego współczucia i miłosierdzia.

Nikom z was nie życzę aby ciężko zachorował. Ale życzę każdemu, aby postawił sobie te pytania i pozwolił się kształtować przez wydarzenia, które wyznaczają waszą życiową drogę jako Misjonarzy Saletynów. Podobnie jak Maryja z Józefem, w drodze z Jerozolimy, nie rozumiała od razu zaginięcia Jezusa, ani później jego męki na krzyżu. My także nie rozumiemy od razu, każdego dnia tego, co Pan chce nam powiedzieć przez wydarzenia. Najważniejsze, abyśmy próbowali czynić tak jak Maryja, która jak mówi św. Łukasz: „zachowywała wszystkie te sprawy w swoim sercu.” (Łk. 2,51)

Na zakończenie postawmy sobie pytanie: Jakie jest miejsce Maryi w moim życiu? Tym pytaniem chcę zakończyć to ostatnie spotkanie z wami.

Z pewnością zauważyliście, jakie miejsce Maryja zajmuje w Bazylice, pomiędzy swoim Synem a ludem. Przed odnowieniem Bazyliki statua królowała

sama pod łukiem absydy, powyżej głównego ołtarza. Odcinała się na niebieskim, wygwieżdżonym tle, tam, gdzie obecnie jest namalowany Chrystus Pantokrator. Architekt zaplanował po prostu wyburzenie ołtarza głównego, który stał w miejscu, gdzie obecnie siedzi celebrans główny. Proponował przeniesienie figury do nawy bocznej zachodniej, gdzie znajduje się kawałek kamienia, na którym podczas zjawienia siedziała Maryja.

Ta zmiana wywołała pewien niepokój i dlatego konsultowaliśmy to z architektem odpowiedzialnym za styl kościołów. Chociaż nie dotyczyło go to bezpośrednio, mądrze nam poradził, abyśmy zachowali ołtarz główny, ale abyśmy go cofnęli w głąb absydy i tam umieścili Najświętszy Sakrament. A później dorzucił, że wypadaloby, aby w Maryjnym miejscu pielgrzymkowym zachować na miejscu centralnym figurę Matki Bożej powyżej ołtarza. Jedyną niedogodnością, która nas niepokoiła, było wrażenie jakie mogli mieć nasi bracia protestanci, że robimy z Maryi rodzaj bogini.

Po umieszczeniu dzieła Arcabasa – to Jej Syn ma pierwsze miejsce, a Maryja jest umieszczona pomiędzy Nim a nami według Bożego zamiaru. Ona z pewnością jest pierwszą chrześcijanką, ale nie jest Bogiem. Uznajemy w niej tę, która modli się bez przerwy za nas, od chwili kiedy Jezus poprzez św. Jana nam polecił ją uważać za naszą Matkę. Nawet w Jej orędziu najważniejszy jest jej Syn, i to do Niego chce z powrotem przyprowadzić wszystkich ludzi.

Zauważyliście także, że w nawach bocznych są umieszczone dwa inne obrazy Arcabasa jako propozycja do rozmyślenia, abyśmy bardziej przybliżyli się do misterium i posłania Maryi tu, na La Salette. W zachodniej nawie jest przedstawione wesele w Kanie Galilejskiej. Podczas gdy na weselu, na którym jest obecny Jezus, zabrakło wina i groziła kompromitacja. Maryja, jako matka z troską o potrzeby nowożeńców, dostrzegła to i mówi do Jezusa: „Nie mają wina” (J 2,1-11). Znacie odpowiedź: „Niewiasto czego chcesz ode mnie? Moja godzina jeszcze nie nadeszła” – godzina kalwarii, która nada sens całemu życiu Jezusa, godzina, kiedy życie zostaje wydane, prawdziwa Pascha, dar Ducha w rodzinach nowej wspólnoty wierzących, w której Maryja będzie matką. Maryja będzie obecna w tej godzinie „godów krwi”, przez które na nowo zostanie zawarte przymierze pomiędzy Bogiem a ludźmi.

Maryja w dyskretny sposób podczas obu tych godów – w Kanie jak i na Golgocie, pomaga swojemu Synowi składać ofiarę z własnego życia. W Kanie nie dyskutuje ze swoim Synem, ale go pobudza do działania, niejako prowokuje, idąc bezpośrednio do sług bez czekania na jego odpowiedź: „Zróbcie wszystko, co wam powie.”

Franciszek Dolto w książce *L'évangile au risqué de la psychanalyse* wyjaśnia nam, że w Kanie stało się coś, na wzór drugiego Bożego Narodzenia. Maryja rodzi Jezusa, nie w sensie jego ludzkie-

go życia, ale jako Mesjasza. Popycha Go do jego misji zmuszając do wykonania pierwszego cudu, który objawi Jego chwałę. To pierwsze wstawiennictwo Maryi, które ukazuje nam, jak bardzo jesteśmy kochani. Podobnie uczyni w wydarzeniu z panem Giraud z wiosce Coin, gdzie ukaże, jak bardzo interesuje się naszymi problemami.

Pozwalając, aby Jezus patrzył na nas, posłuchajmy na nowo Maryi, która do nas mówi, abyśmy zrobili wszystko, co On nam powie, bowiem Ona jest tu po to, aby nas podtrzymywać w naszym życiu i rodzić nas do naszej misji, a tą misją jest Jej naśladowanie. Nie bójmy się wziąć Jej do siebie, jak to zrobił Jan, aby rozmawiać z Nią, jak syn z Matką i żyć w tej atmosferze. Jej obecność pomoże nam pogłębić wiarę i nieustannie uczyć się na nowo, jak pozwolić się kochać Bogu i swoim braciom. Wtedy nasz dynamizm może naśladować dynamizm Kościoła zrodzonego po Zmartwychwstaniu. To będzie nasza odpowiedź Temu, który nas pierwszy umiłował.

Ukazując się na La Salette jako zapłakana matka, z jaśniejącym krucyfiksem na piersiach, Maryja nie przychodzi, aby budować naszą wiarę, ale jej służyć i wspomagać ją. Przypomina o współpracy w naszym zbawianiu przez nieustanną modlitwę. Oto jej prawdziwe miejsce w Bożym planie.

Grupa ekumeniczna z Dombes opublikowała owoce swojej pracy i przemyślenia na ten temat: „Maryja w planie Bożym i obcowanie świętych” Jest tam

napisane: „Cała nasza praca pokazała, że w osobie Maryi nie pozwala uczyń z niej symbolu naszego podziału. Maryja działa nie u boku Zbawiciela, ale po stronie zbawianych”.

Ona jest pierwszą z wierzących. Ona nam ukazuje, że w wierze nie chodzi o robienie czegoś, ale o przyjęcie czegoś, podobnie jak to się stało w chwili Zwiastowania. Ona mówi Bogu o nas, podobnie jak mówiła Jezusowi o problemach nowożeńców w Kanie. Stale nam powtarza jedną rzecz: „zróbcie wszystko co wam powie, i ogłoście to całemu mojemu ludowi”. Nie bójmy się także uciekać się każdego dnia do niej w modlitwie Zdrowaś Maryjo, abyśmy dołączyli się do jej wstawiennictwa. Nauczmy się na przykład zasypiać odmawiając różaniec.

W swojej najnowszej książce *Maryja cierpi nadal* Kard. M. Martini zaprasza czytelników, aby stali się nosicielami pojednania i cytuje słowa Jan Pawła II na 150. rocznicę Zjawienia:

„Słowa Maryi na La Salette dzięki ich prostocie i surowości, zachowują nieustannie aktualność w świecie, który cierpi stale przez wojnę, głód i wiele nieszczęść, które są znakami i często konsekwencją grzechu ludzi. Niech Ona prowadzi do swojego Syna wszystkie narody ziemi.”

Na początku Jubileuszowego Roku, te słowa dla nas są cenne w tym, abyśmy ukochali naszą misję Misjonarzy Saletyńców, tę misję, której nie możemy dobrać wykonywać poza wspólnotą. Zacy-

tuję wam o. Bruno Chenu: „Jeśli życie zakonne jest prorockie, to obecnie jest ono szczególnie poprzez wymiar wspólnotowy”. A dla nas to znaczy łączyć wszystkie siły razem, jako partnerzy pochodzący z wielu krajów ale mający jeden cel.

Nie wiem, czy ta próba odczytania mojego życia i moich przekonań pomoże wam przeżyć rekolekcje. Ale muszę wam powiedzieć, że dla mnie była to wielka łaska i dlatego dziękuję o. Izidro za zaproszenie. Mam nadzieję, że byłem szczery i prawdziwy, nawet jeśli niekiedy moja pamięć deformuje rzeczywistość, którą inni postrzegają inaczej.

Korzystajcie z tych kilku wyjątkowych dni tutaj, aby pić u źródła naszego Zgromadzenia, aby gdy kiedyś wy będziecie powołani do powrotu tutaj, do służby pielgrzymom, niech wasi przełożeni znajdą w was otwarte serca. Dziękuję.

Tłumaczył z francuskiego  
*ks. Henryk Przeździecki MS, Warszawa*